

## Moje konto na Facebooku a żółte kamizelki

„Żółte kamizelki” to ruch, który się zaczął, i nadal trwa, dzięki mediom społecznościowym. Manifestanci zbierają się co sobotę dzięki apelom na tych mediach. Ale nawet ludzie, którzy mają konta na mediach społecznościowych, spierają się o to, kim są żółte kamizelki. Więcej: same żółte kamizelki spierają się o to, kim są żółte kamizelki – pisze Agnieszka Kołakowska dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Trzy kolory i żółty?”.

W moim koncie na Facebooku jedna tylko jest rzecz istotna w kontekście francuskiego ruchu żółtych kamizelek – choć właściwie jest to jedyna istotna o nim rzecz w każdym kontekście. Ta mianowicie, że moje konto na Facebooku nie istnieje. Równie istotnie w tym (i każdym innym) kontekście jest całkowite nieistnienie mojego konta na Twitterze. Na tym też, to znaczy na tych kont nieistnieniu, polega ich związek z ruchem żółtych kamizelek. Czy raczej (bo jednak staram się, żeby to, co piszę, nie było całkiem pozbawione sensu): to, co wiem o ruchu żółtych kamizelek jest ściśle związane z faktem, że nie mam kont na mediach społecznościowych. A wiem niewiele, ponieważ – tu drugie istotne powiązanie – ruch ten jest z takimi mediami ściśle związany.

Kim są uczestnicy tego ruchu? Ludzie ze wsi. Nie, ludzie z prowincji. Nie, ludzie z przedmieść. Nie, to biedne i w szybkim tempie coraz bardziej biedniejące klasy średnie. Nie, nie, po prostu ludzie biedni i zmarginalizowani. Tak, ale zmarginalizowani bo są bez głosu i

wykluczeni z debaty, z procesu demokratycznego. Nie, to są ludzie, którzy wcale nie chcą demokracji. To wyborcy Le Pen. Nie, to wyborcy Mélenchona. Nie, to po prostu głosy protestu przeciwko elitom. Nie, to ludzie, którzy myślą, że państwo ich zdradziło i nie troszczy się o nich. Nie, to ludzie, którzy po prostu chcą, żeby państwo wszystko im dawało. Nie, im chodzi tylko o podatki i droższą benzynę. Nie, rozwścieczyło ich głównie obniżenie ograniczenia prędkości na drogach z 90 do 80 km.

Trudno powiedzieć. Zwłaszcza jeśli się nie ma konta na Facebooku. Jest to ruch, który się zaczął, i nadal trwa, dzięki mediom społecznościowym. Manifestanci zbierają się co sobotę dzięki apelom na tych mediach. Ale nawet ludzie, którzy mają konta na mediach społecznościowych, spierają się o to, kim są żółte kamizelki. Więcej: same żółte kamizelki spierają się o to, kim są żółte kamizelki. Można chyba się zgodzić, że są tam ludzie różni. Mówimy teraz o tych „prawdziwych”, którzy przyjeżdżają manifestować, a nie o tych „fałszywych”, którzy wykorzystują ich manifestacje, by palić samochody, rabować sklepy, atakować policjantów i ogólnie siał zamęt. Ale jednocześnie mówi się też o „dobrych” i „złych” kamizelkach, mając na myśli nie „prawdziwych” i „fałszywych” w powyższym sensie lecz tych rozsądnych, demokratycznych z jednej strony i tych rewolucyjnych, antydemokratycznych z drugiej.

Niedawno udzielił na ten temat wywiadu ten kwiat francuskiej kultury i mądrości, Bernard-Henri Lévy, znany jako BHL. Warto przytoczyć tu niektóre jego wypowiedzi, bo są znamienne – i w tej swojej znamienności świadczą o sposobach wykorzystywania tego ruchu. Niektóre z jego wypowiedzi są (o dziwo) rozsądne, ale inne już staczają się w charakterystyczną demagogię jednej z politycznych ugrupowań,

które chciałyby wykorzystać ten ruch dla swoich celów. Wykorzystują go populiści typu Le Pen czy Mélenchon, przywódcy skrajnych partii, którzy żyją w nadziei zwiększenia liczby swoich wyborców; wykorzystują go anarchiści i normalni chuligani, którzy zacierają rączki w obliczu perspektywy palenia samochodów; lecz wykorzystują go też, jak tutaj widać, euro-elity, przywiązane do swoich wpływów i przywilejów i chcące podeprzeć rozpadającą się Unię Europejską i ocalić federalistyczny projekt politycznej integracji.

Twierdzi więc BHL, że nie chodzi tu o żadną z tych rzeczy – wieś, przedmieścia, państwo, biedę – lecz o nihilistyczną, antydemokratyczną wolę destrukcji ze strony ludzi, którzy proklamują się „ludem”. Że są to antysemita, rasiści, homofobi. Przynajmniej niektórzy z nich. Ale może jednak wszyscy? Bo domagali się, żeby rząd ich posłuchał; i rząd (twierdzi BHL) rzeczywiście ich posłuchał. Jest gotów do dialogu. A oni co? Nie, oni – okazuje się – wcale dialogu nie chcą. „Nie chodzi im – mówi BHL – o nowe uprawnienia, nowe swobody, nowe formy sprawiedliwości. Oni chcą głowy króla, chcą blokować ronda, chcą wszystko, tylko nie polepszenia losu najsłabszych”. W obliczu tego naiwne są, jego zdaniem, te „groteskowe intelektualne akrobacje”, by rozróżnić między rzekomymi „złymi” a „dobrymi” uczestnikami tego ruchu, jakimi oddają się ci, co wiecznie klęczą i płaszczą się przed samozwańczym „ludem”.

To akurat (w mierze, w jakiej może to ocenić ktoś, kto nie ma konta na Facebooku – lecz także w mierze, w jakiej można uznać, że rewindykacje samozwańczych przedstawicieli tego ruchu rzeczywiście odzwierciedlają żądania jego członków) wydaje się być prawdą. Przynajmniej częściowo. Nigdy nie podejrzewałam, że kiedykolwiek zgodzę się z czymkolwiek, co powie BHL. (Ale spokojnie, nie potrwa to

*Lévy twierdzi, że nie chodzi tu o żadną z tych rzeczy – wieś, przedmieścia, państwo, biedę – lecz o nihilistyczną, antydemokratyczną wolę destrukcji ze strony ludzi, którzy proklamują się „ludem”*

długo.) Ci samozwańczy przedstawiciele wyraźnie i wielokrotnie wspominali o redystrybucji, o wzroście płac dla wszystkich, o górnej granicy płac (chyba 15 tysięcy euro miesięcznie), o

gigantycznych wzrostach wydatków państwa, o przywróceniu podatku od bogactwa, i oczywiście o obniżeniu wieku emerytalnego. I choć ruch ten być może rzeczywiście zaczął się jako społeczny ruch biednych i biedniejących klas średnich – co to też nie jest pewne – nie tylko niewiele ma wspólnego z „ludem”, lecz jest coraz bardziej znienawidzony przez spore części tych klas średnich. Sklepikarze i mali przedsiębiorcy, na przykład – te same klasy średnie, które muszą dojeżdżać do pracy i które rozwścieczył wzrost cen benzyny i nowe ograniczenie prędkości – zdecydowanie mają go dosyć: wiecznie blokowane ronda nie pozwalają im w ogóle dojeżdżać do pracy, ich sklepy bankrutują, podobno niektóre centra handlowe też, przez co ludzie – ci przedstawiciele pracującego „ludu” – tracą pracę i zwiększa się bezrobocie. Nawiasem mówiąc, widziałam dziś jedno z ich hasła na bulwarze Haussmann, na murze obok sklepu z rozbitą witryną – w okolicy, gdzie w tę i poprzednie soboty odbywały się najgorsze rozruchy. Hasło brzmiało: *A bas la bourgeoisie!*

Idąc bulwarem widziałam sporo rozbitych witryn i sporo podobnych haseł. Na jezdni i na chodniku było jeszcze sporo szkła. Ale wśród haseł na murach widziałam też hasło o nieco innej wymowie: *justice fiscale*. Co pokazuje, że żółte kamizelki rzeczywiście nie są jednorodne. Tylko nie wiadomo, kim są ci ludzie – ani ci, co chcą rewolucji ani ci, co po prostu buntują się przeciwko fiskalnej polityce Macrona – ani ilu jest jednych, a ilu drugich. Można jednak zadać pytanie, dlaczego ludzie, którzy po prostu buntują się przeciwko fiskalnej polityce Macrona, nadal – po wielu sobotach gwałtownych rozruchów – by chcieli brać w tym ruchu udział. Z desperacji? Czy może zmienili zdanie i też zachciało im się rewolucji? Czy nadal wierzą, że ruch ten można ocalić, że nie przejmą go ekstremiści, że jest on i może pozostać demokratycznym ruchem klas średnich? Nie wiadomo.

Prawdą jest też – i tu wracam do początku – że dzięki mediom społecznościowym nie ma już dziś ludzi pozbawionych głosu; każdy głos na tych mediach – rasistowski, homofobiczny, antysemicki, czy demokratyczny – ma tę samą wagę. Także pod tym względem – pod względem łatwości, z jaką skrajne poglądy, nienawiść i fake news mogą wpłynąć na ogromne ilości ludzi – ważne jest powiązanie między tym ruchem a mediami społecznościowymi.

I prawdą jest – co bardzo istotne – że przywódcy skrajnych partii, Le Pen i Mélenchon, też jak najbardziej należą do elit. BHL słusznie wspomniał o tym w odpowiedzi na pytanie, czy ruch żółtych kamizelek jest świadectwem klęski elit. Owszem, odparł BHL, ale nie tych rządowych; raczej tych innych, tych Le Penów i Mélenchonów, tych, którzy sieją nienawiść i nawołują do mordów. Z tego, co wiem, ani Le

Pen ani Mélenchon nie nawołują do mordów, ale prócz tego małego szczegółu wszystko się zgadza, i trzeba to powiedzieć, i do znudzenia powtarzać.

Ale jednak nie wszystko się zgadza. Zauważmy pierwszą część odpowiedzi: że nie jest to klęska elit ogólnie, czy klęska elit rządowych. Przepaść między normalnymi obywatelami a „klasą polityczną” się pogłębia, dawne główne partie – socjalistyczna i centro-prawicowe – straciły swoich wyborców, leżą w gruzach i nie umieją się podnieść, ale – klęska elit? skąd, nie ma to nic wspólnego z elitami, jakże, jaka klęska? Tu BHL wraca do swojej charakterystycznej formy, to znaczy stacza się w arogancki i tendencyjny bełkot. Na następne pytanie – „Czy nie uderza pana rosnąca przepaść między elitami i resztą społeczeństwa?” – BHL odpowiada: „No nie, właściwie nie aż tak; przeciwnie, to, co mnie uderza, to raczej wola słuchania ze strony tych elit.”

Można tylko przecierać oczy i pokiwać z politowaniem głową. Dalej znów zaczyna się dobrze: BHL przywołuje historię, przypomina losy krajów, gdzie zdecydowano, że model reprezentacyjnej demokracji jest przedawniony i powinien być zastąpiony czymś innym, i zauważa, że tym czymś innym w takich eksperymentach zawsze był totalitaryzm. To też prawda. Ale zaraz potem czytamy o tym, jak euro (które jego zdaniem jest „solidne” – co, przepraszam?) ocaliło Grecję i ochroniło ją przed demagogami. Halo? Przecież to właśnie wskutek narzucanego euro i niemożności ustalenia własnej polityki ekonomicznej i fiskalnej Grecja się rozpadła. I dalej: „Obrońcy Europy są zbyt nieśmiali, zbyt milczący. Chcę im powiedzieć: musicie walczyć, musicie wierzyć, musicie zabrać głos!”

To już nie zwykły bełkot, to majaczenie w jakimś ciężkim delirium. Wydawałoby się, przeciwnie, że nic prócz tego właśnie głosu nie słyszymy. Ale jest jeszcze lepiej. Na końcu BHL mówi wprost: walka przeciwko siłom, które nas atakują (i ma tu on na myśli między innymi to, co nazywa populizmem, gdzie Węgry oczywiście są na czele), może się odbyć tylko na poziomie „imperium europejskiego”, to znaczy w Brukseli. Tak, przyznaje on, że brak tam demokracji i trzeba to uleczyć. Ale „trzeba dalej budować Europę, inaczej wrócą wojny i tyranie”. I tu już jesteśmy w domu. Jakbyśmy słyszeli panią Wallström.

*Przepaść między normalnymi obywatelami a „klasą polityczną” się pogłębia, dawne główne partie straciły swoich wyborców, leżą w gruzach i nie umieją się podnieść, ale – klęska elit?*

Przytaczam te brednie tylko jako przykład – przykład wykorzystywania tego ruchu przez europejskie elity w sposób nie mniej ohydny i cyniczny (jakkolwiek ohydny i cyniczny byłby sam

ten ruch) niż czynią to populiści i ekstremiści wszelkich pokrojów. Owszem, trzeba się wystrzegać populistów. Żółte kamizelki, mimo obecności wśród nich ludzi dobrej wiary, o rozsądnych żądaniach, które sama skłonna bym była poprzeć, jest coraz bardziej ruchem populistycznym i ekstremistycznym, ruchem anarchistów i chuliganów, ruchem ludzi, którzy chcą podpalać, zabijać i niszczyć. Możemy się zgadzać z niektórymi spośród tych rozsądnych na pozór żądań, z niektórymi z tych dobrej wiary ludzi (których liczba jest nieznaną ale wolno sądzić, że z dnia na dzień malejąca), możemy tak samo jak oni oburzać się na pogardę elit, na niesprawiedliwe podatki, na plany

zamknięcia elektrowni jądrowych i resztę absurdalnej „zielonej” polityki, na związane z tą polityką posunięcia jak wzrost cen benzyny, znęcanie się nad kierowcami, niechybne w bliskiej przyszłości kryzysy elektryczności i wiele innych rzeczy, które najmocniej uderzą w najbiedniejszych, ale zwróćmy uwagę na pozostałe żądania, na hasła typu „à bas la bourgeoisie!”, i pamiętajmy, że wrogowie naszych wrogów niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi.

Pisze dziś w Le Figaro Luc Ferry, francuski filozof i były minister edukacji, że Front Narodowy, przemianowany teraz na Rassemblement National, niedługo będzie postrzegany jako jedyna ochrona wartości Republiki przed barbarzyństwem. Wymienia wśród tych, którzy mogliby się na RN nawrócić, prowincję i peryferie, antyeuropejczyków, antyglobalistów, antyislamistów, antyanarchisto-chuliganów, antyliberałów, przeciwników elit, przeciwników imigrantów, populistów, protekcjonistów, narodowców, suwerenistów. W tym przypadku też pamiętajmy, że wrogowie naszych wrogów niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi: że Front Narodowy, jakkolwiek by się nazywał, nie jest ochroną przed barbarzyństwem lecz innego rodzaju barbarzyństwem, barbarzyństwem wiele mającym wspólnego z ekstremistami wśród żółtych kamizelek, barbarzyństwem nieliberalnym, antyrynkowym i antysemitycznym, barbarzyństwem niszczącym, nie chroniącym, wartości Republiki.

Co jednak nie znaczy, że euro-elity i orędownicy Unii są naszymi przyjaciółmi. Przeciwnie. Może należy przyznać, że bez Unii Grecja, o której wspomina BHL, została by przejęta przez rządy prawdziwych nazistów. I że gdyby Jeremy Corbyn został premierem Wielkiej Brytanii po Brexicie (dziwne, nawiasem mówiąc, że BHL o Brexicie nie wspomina w swojej wyliczance przykładów populistycznych ruchów;

każdy inny obrońca Unii nie omieszkąby skorzystać z tej okazji), nic by go nie powstrzymało przed przekształceniem Anglii w Wenezuelę. Ale trzeba pamiętać, że to właśnie polityka unijna i pogarda euro-elit do tych kryzysów doprowadziły. Unia nie jest rozwiązaniem. A raczej: jest rozwiązaniem złym i tymczasowym. Bo przecież – powtarzam – to właśnie przez rządy euro-elit mamy w Europie tę sytuację, którą mamy. Na skrajności i populizmy nie mam rozwiązania, więc proszę nie dzwonić. Ale wiem, że to, czego trzeba, żeby w ogóle zacząć próbę uleczenia Europy, to suwerenne państwa, wspierające demokratyczne instytucje i kształtujące odpowiedzialnych obywateli. Znów: pamiętajmy, że wrogowie naszych wrogów niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi. Front Narodowy nie jest naszym przyjacielem. Żółte kamizelki nie są naszymi przyjaciółmi. Ale europejskie elity też nimi nie są.